

Ambinanindrano, dnia 23 maja 1982 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Niemal bezpośrednio po zanieśieniu listu na pocztę przyjechali współbracia z Ambinanindrano i przed wspinaniem się do naszego domu oddali kilka worków poczty wiezionej z Mahanoro. Wkrótce syn kierownika poczty wniósł dla nas adresowaną korespondencję, która zawierała chyba wszystkie już listy Bożonarodzeniowe. Do takich opóźnień też się trzeba przyzwyczaić. Z tego powodu nie czekam na listy, lecz piszę wtedy, gdy nabiera się sporo ciekawostek. Jedną z nich są moje przygody z esperantem i esperantystami.

W lutym mając ponad tydzień czasu do dyspozycji w Tamatawie chciałem polecieć samolotem do Ambatondrazaka, ale samoloty nie mogły wylądować na tamtejszym trawiastym lotnisku. W zamian za to zostałem zaproszony przez malgaskich esperantystów do odprawienia Mszy Świętej w międzynarodowym języku w niedzielę, dnia 9 maja. Członkowie Światowego Związku Katolików-Esperantystów przygotowali akt ofiarowania się Sercu Maryi w dniu 13 maja br. Ten rok prawdopodobnie jest rokiem dwutysięcznym od urodzenia się Maryi, Matki Zbawiciela. Kazanie napisałem, teksty przygotowałem, ale jeszcze w kwietniu otrzymałem od przewodniczącego malgaskich esperantystów informację, że „sprawa jeszcze nie dojrzała”. Skończyło się tylko na naszym spotkaniu prywatnym. Drugiego księdza znającego język esperanto na Madagaskarze nie znam, dlatego starałem się nie zawieść. Tymczasem niepotrzebnie straciłem czas na przygotowania nabożeństwa. Na przyszły raz będę ostrożniejszy. Ale nie tu koniec prawdziwej przygody. Pod koniec lutego obchodzono Światowy dzień pomocy trędowatym. W Tamatawie włoska zakonnica organizuje wiele imprez, między innymi loterię fantową. Losy są dla nas stosunkowo tanie i wykupiono po pięć na każdego z nas. Na 25 losów wygraliśmy dwie nagrody. Pierwszej nie pamiętam, drugą był zegarek z napisem: „ESPERANTO”. Oczywiście dano mi ten zegarek, który nosiłem podczas mojej podróży do stolicy: esperantysta wygrał zegarek „Esperanto”! Ale na co dzień wciąż noszę zegarek otrzymany na pożegnanie od Przyjaciół Misji we Wrocławiu. Zegarek marki tissot wciąż chodzi bardzo dobrze, a nawet za dobrze, bo spieszy się całe 6 sekund na dobę.

Dnia 29 marca obchodzi się tu święto państwowe i tego dnia nie wolno robić żadnych zebrań z wyjątkiem wspólnej modlitwy za poległych w 1947 roku w powstaniu przeciwko Francuzom. Tym razem nabożeństwo odbyło się w kościele protestanckim, ale byliśmy także i my. Każda grupa wyznaniowa miała swój udział przez czytanie Pisma Świętego, modlitwy i śpiewy. Obecni są przedstawiciele władz państwowych, w tym wypadku Prefekt (Wojewoda) i urzędnicy, a także przedstawiciele żandarmerii. W południe i my byliśmy zaproszeni na aperitif, czyli krótkie spotkanie, podczas którego trzyma się szklankę z wybranym napojem. Przemówień nie ma, ale trzeba okazać życzliwość i zainteresowanie takim świętem. W dniu 29 marca 1947 roku na całym Madagaskarze jednocześnie, czyli o tej samej godzinie, wystąpiono zbrojnie przeciwko kolonizatorom francuskim. Potem zbrojnie wystąpiono także przeciwko tym Malgaszom, którzy porzucili malgaskie zwyczaje i np. zaczęli się ubierać po europejsku. Wtedy zginęło wielu bogatszych i niewinnych ludzi, jak np. kupcy i rzemieślnicy. Powstańcy mieli rozkaz nie strzelać do misjonarzy. Zginął tylko jeden ksiądz francuski, chociaż nie wiadomo tego, czy dlatego, że był Francuzem, czy dlatego, że był księdzem. Roztropnie postąpili dwaj misjonarze z Marolambo, którzy w chwili wybuchu powstania otrzymali propozycję przyłączenia się do pozostałych rodaków i schronienia się w dobrze bronionej rezydencji prefekta (wojewody). Pomoc wojskowa dotarła na czas, po tygodniu. Francuskie wojsko przyszło z garnizonu w Vatomandry na wschodnim wybrzeżu. Misjonarze przeżyliby więc w rezydencji, jak wszyscy inni Francuzi tam się broniący. Jednakże misjonarze ci odmówili opieki władz kolonialnych i schronili się nad sufitem kościoła, wciągając za sobą drabinę. Na szczęście, ten kościół nie został podpalony. Z nastaniem nocy opuścili swoją kryjówkę i lasami szli w kierunku wybrzeża. Znając te lasy nie uważam za możliwe, aby ich przejście nie zostało niezauważone. Do wybrzeża dotarli

szczęśliwie. W drodze pomocy udzielił im pewien katecheta przewożąc ich pirogą przez rzekę i tego katechetę powstańcy zabili za pomoc udzieloną białym. Ale zameczony katecheta z pewnością nie był jedynym, który udzielił im pomocy w dziewięciodniowej ucieczce do misji w Vatomandry. Jednak o innych osobach pomagających misjonarzom niczego nie mogłem się dowiedzieć.

Dnia 2 kwietnia wyruszyłem w obchód misyjny do południowej części mojego sektoru. Przez dwa dni przeszedłem 50 km. Po drodze w wiosce Ambodiaviavy (co znaczy „pod figą”) odprawiałem Mszę Świętą, podczas której modliły się oprócz mnie i niosącego mój bagaż katechety dwie osoby: pielęgniarka ze swoją 10-letnią córką. Potem przejścia już były krótkie, 30-150 minut. W Wielki Piątek doszedłem do centrum w Betampona i tutaj odprawiłem nabożeństwo Wielkopiątkowe. Tutaj jest przechowywany Najświętszy Sakrament, więc nie trzeba było przynosić w bagażu z sąsiedniej wioski, w której odprawiałem w Wielki Czwartek. Nie ma tu młodzieży, dwudziestka ludzi starszych nie zawsze się też modli w niedzielę. Po prostu bardzo słaba wspólnota. W Wielkanoc przyszedli na Mszę Świętą o całą godzinę później, gdyż przez noc śpiewali pod oknem szpitala z radości, że „człowiek na świat się narodził”. Tego zwyczaju jeszcze nie znałem. Po Mszy Świętej przeszedłem sam do sąsiedniej wioski, tylko 5 km pięknej i łatwej drogi nad brzegiem rzeki. Bagaż miano mi przynieść tuż po południu, gdyż wszyscy poszli oglądać przedstawienie w kościele protestanckim. Jednakże jeszcze o czwartej po południu bagażu nie miałem, a bez wina i hostii Msza Święta nie może być odprawiona. Bagaż dotarł przed szóstą, gdy ludzie już zaczęli gotować ryż. Zebraliśmy się dopiero o ósmej wieczorem, jednakże tym razem oprócz tej jedynej rodziny katolickiej mieszkającej w tej wiosce przybyło dużo młodzieży protestanckiej - z ciekawości. Z młodzieżą trochę rozmawiałem, ale jest bardziej nieśmiała, a może bardziej bojąca się, gdyż nie jest katolicka? W poniedziałek przeszedłem 20 km przez trzy godziny i kwadrans. Droga łatwa, wzdłuż rzeki. Mosty, czyli kłody lub bele przerzucone nad wodą, były już odbudowane po styczniowym cyklonie. Poza tym do domu zawsze idzie się szybciej. Współbracia już też zdążyli powrócić i poniedziałkowe popołudnie spędziliśmy wspólnie.

Nie ma tu polskich zwyczajów, jak święconka czy dyngus. Zresztą z powodu dyngusa zrobionego w Wielką Sobotę przez Pana Boga pozostaliśmy w domu. To znaczy, że nie spotkaliśmy się w polskiej grupie z okazji Wielkanocy. Po prostu nie byliśmy w stanie przejechać do Ambinanindrano z powodu siedmiometrowej dziury w drodze. Przez tydzień czekaliśmy na wiadomość o zlikwidowaniu wyrwy, ale po tygodniu ja zrezygnowałem z jazdy mając w perspektywie wyjazd do stolicy Tananarywa dnia 3 maja. Poza tym doszła do nas inna wiadomość. Nasz drugi samochód pozostaje 200 km od Marolambo i nie może pokonać rzeki, ponieważ prom się popsuł. Tu nikt nie wie, ile czasu będzie trwała naprawa. Mam więc czas na pisanie listów. Przez tydzień odpisałem na czterdziestkę listów bożonarodzeniowych. Przyszły podczas mojego ostatniego obchodu misyjnego przed Wielkanocą: 3 kg korespondencji dla mnie, oczywiście łącznie z czasopismami. Z tego powodu nie szukajcie nigdy życzeń świątecznych w moich listach! Nie odczuwam potrzeby składania życzeń czy czytania życzeń, które przychodzą niezależnie od roku liturgicznego. Tygodniki zaprenumerowane pocztą lotniczą dla mnie przez Siostry Niepokalanki z Szymanowa dochodzą po dwóch tygodniach do Mahanoro, tutaj do Marolambo w zależności od samochodu jadącego „przejeżdżnym bezdrożem”. Tak poetycko nazwaliśmy tę drogę samochodową. I tą drogą, tym razem w dniu 19 kwietnia, a był to poniedziałek, przyjechał do nas Ojciec Roman na motorze „honda 125 terenowa” szczęśliwy, że przewrócił się tylko jeden raz. Te 60 km przejechał w trzy i pół godziny, a więc dwukrotnie szybciej, niż samochodem. Cieszą takie spotkania. Dowiedzieliśmy się, jak w Mahanoro przebiegało spotkanie misjonarzy. Obecni byli wszyscy oprócz nas z południowej części diecezji Tamatawy.

Ojciec Roman odjechał nazajutrz, Ojciec Jan wyruszył na sześciodniową wyprawę tylko dlatego, aby uczciwie wpisać nazwiska świadków do księgi małżeństw i przy okazji odwiedzić wioski, w których już dawno nie widziano księdza. Ojciec Marian też penetruje swój sektor, ja zaś sam na misji cieszę się, że od kilku lat Papież zezwala na sprawowanie Najświętszej Ofiary

bez ministranta. Nikt nie przychodzi do kościoła na ranną Mszę Świętą, jedynie w środę na wieczornej jest dwudziestka osób.

Jestem sam na misji i zajmuję się... królikami. Na naszym terenie niewiele osób hoduje te miłe zwierzątka, a trawy dużo i dzieci chętnie przynoszą za cukierka. Chodzi mi po prostu o to, żeby pokazać ludziom, jak się to robi i że warto to robić. Już tu tak jest, że nas naśladują, ale nie robią według naszych słów. Muszą zobaczyć. I już nic mówić nie potrzeba, skoro zobaczą nas, jak to robimy. A obserwują wszystko i „nic przed nimi nie jest zakryte”. My o tym wiemy i wykorzystujemy. W odpowiedniej porze roku przeprowadzimy też akcję sadzenia drzew owocowych. Wciąż przychodzą na misję rodzice szukający witamin dla swoich dzieci, które jedzą niewielkie ilości owoców. Tłumaczymy, że najlepsze witaminy są w owocach. Problem polega na tym, iż ludzie nie chcą zająć się sadzeniem drzew: „po co teraz pracować, skoro owoce będą za 4-7 lat”? Na naszym wzgórzu rośnie sporo drzew chininowych i sosnowych i od czasu do czasu je wycinamy na deski. Nieraz przechodzę przez ten las, aby znaleźć zrąbane drzewa - i wtedy zabieram je do naszego magazynu. Czasami mnie wyprzedzą, jeśli tego nie zrobię od razu. Po prostu kradną. A ile drzew wyniosą, o których ja nie wiem? I mówi się, że Malgasze są uczciwymi.

Ostatnio Episkopat Malgaski wydał instrukcję dotyczącą udzielania Sakramentu Chrztu Świętego dzieciom i dorosłym. Ksiądz Biskup z Tamatawy też podał szczegółowe zasady postępowania w tej diecezji. W Polsce niektórzy byliby zdziwieni przeczytawszy o trudnościach stawianych rodzicom, którym trzeba odmówić Chrztu Świętego ich dziecka. Przede wszystkim trzeba dowiedzieć się, czy ojciec dziecka jest katolikiem. Dziecko należy do ojca i jeśli ten jest np. protestantem, to dziecko musi wyznawać jego religię nawet, gdy jest ochrzczone w Kościele Katolickim. W wieku siedmiu-dziesięciu lat odbywa się obrzęd wtajemniczenia, kiedy chłopiec przechodzi spod opieki matki do rodziny ojca. Następnie sprawdza się, czy rodzice żyją w związku sakramentalnym, a jeśli nie zawarli związku małżeńskiego, to trzeba stwierdzić, czy mogą uregulować tę sytuację wobec Kościoła. Gdyby małżonkowie już zawarli związek małżeński w Kościele, rozwód nie jest możliwy i w takim wypadku można udzielić Chrztu Świętego. Takie przypadki są częste przy nietrwałości małżeństwa na Madagaskarze. W jednej wiosce od lat już nie było żadnego Chrztu Świętego i mógłbym ochrzcić nawet dwudziestkę, ale znów w tej wiosce nie ma nauki katechizmu, nie ma modlitw niedzielnych, więc dzieci muszą czekać na chrzest, aż grupa starszych dzieci zacznie się uczyć katechizmu. W innej wiosce katecheta już ma dwoje dzieci ochrzczone, z chrztem trojga następnych musi poczekać, aż zdecyduje się zawrzeć związek małżeński. Gdzie jest problem? Malgasze nie lubią składać przyrzeczeń „na zawsze”. A jego małżeństwo trwa już trzynaście lat i jeszcze nie jest on pewny trwałości swego związku.

Doszły już do nas potrzebne dokumenty z wykazem darów z Poznania i wkrótce otrzymamy zezwolenie na odebranie skrzyń zawierających te dary z portu, a potem już same dary wysłane z Prokury z Poznania. Na Węgrzech pewien ksiądz prowadził wielkopostną akcję wśród dzieci pod hasłem: „oszczędzam na cukierkach dla misji”. Jej wynikiem jest list zawiadamiający mnie, abym skreślił sto intencji mszalnych, które on odprawi lub da innym kapłanom do odprawienia. Taka pomoc jest podwójna: księża emeryci odprawiają nasze intencje i u nas na misji zostają pieniądze, zaś oni otrzymują pieniądze za te intencje od mego znajomego księdza-esperantysty. Nie ma też innej możliwości przekazania nam pieniędzy z Węgier. Dzięki wszystkim Ofiarodawcom!

I tak nadszedł miesiąc maj. Nie ma tu pięknych polskich nabożeństw majowych, a o Święcie Królowej Polski nikt nie mógł słyszeć. Przez pięć dni oczekiwałem na przyjazd współbraci z Ambinanindrano, ale zepsuty prom na rzece odległej 30 kilometrów od Mahanoro spowodował opóźnienie przeprawy przez rzekę. Dniu 2 maja już umówiłem się z tragarzem, aby mi towarzyszył w drodze do Ambinanindrano na pieszo. „Drogą niesamochodową” przez lasy jest tylko 40 km. Ale tuż przed wieczorem dwa samochody zajęły na misję. W dniu 3 maja odprawiliśmy Mszę Świętą po francusku (koncelebrowali dwaj ojcowie francuscy). Jeszcze starczyło nam czasu na całodienne spotkanie, a we wtorek udaliśmy się do Ambinanindrano, w drodze wysiadając z land-rover'u 7 razy. Gorzej było w środę, gdyż 60 km jechaliśmy przez 7

godzin, wysiadając 14 razy w miejscach trudnych. Droga jest więc coraz gorsza. Czyżby groziło nam przyjęcie malgaskiego sposobu podróżowania: na pieszo? Z Mahanoro już lecieliśmy małym samolotem do Tamatawy. Ale tu nie koniec kłopotów. Mając wolne przedpołudnie w piątek poszedłem do dentysty, a Ojciec Franciszek do biura lotniczego. W piątek nie ma miejsc wolnych w samolocie do Tananarywy, odlot w sobotę może okazać się zbyt późnym dla O. Franciszka. Używszy małego fortelu udało nam się dolecieć jeszcze w piątek do stolicy i tutaj nowa niespodzianka. Nie kursują autobusy, ponieważ w warsztatach komunikacji miejskiej zabrakło części zamiennych do węgierskich ikarusów. Trzeba wynająć taksówkę za odpowiednio wysoką opłatą. Otrzymujemy pokoje w sekretariacie Episkopatu i znów dowiadujemy się o nowej trudności. Biuro konsulatu niemieckiego będzie otwarte w poniedziałek, a samolot do Europy odlatuje w niedzielę wieczorem, zaś paszport bez wizy w sejfie konsulatu. I tę przeszkodę udało się pokonać dzięki znajomości zastrzeżonego numeru telefonu do konsula niemieckiego. Ojciec Franciszek będzie musiał wyrobić wizę niemiecką w Paryżu, ale to jest możliwe.

W niedzielne przedpołudnie uczestniczyliśmy we Mszy Świętej po francusku: szesnaście obecnych osób pochodziło z dziewięciu krajów, z trzech kontynentach. Potem wyruszamy na krótką przechadzkę po mieście zbudowanym na dwunastu pagórkach o różnicy wzniesień 200 metrów: 1.200 metrów n.p.m. przy dworcu kolejowym i 1.400 takich samych metrów przy „Pałacu Królowej”, oczywiście zamkniętym i jeszcze nie otwartym jako muzeum. Odprowadzam na lotnisko Ojca Franciszka. Potem, przez trzy przedpołudnia robię zakupy w sklepach dobrze zaopatrzonych w europejskie towary. Po południu odwiedzam znajomych z korespondencji esperantystów oraz Polaków, którzy wykładają na malgaskich uczelniach. W czwartek bez problemów wracam samolotami do Mahanoro. Przez dwie godziny czekałem w dworcu lotniczym w Tamatawie mając większą sumę pieniędzy w torbie podręcznej. Poczuję się bezpieczny, gdy mogłem wpłacić je do banku w Mahanoro. Uczyniłem to natychmiast po przybyciu na misję w Mahanoro. W podróży torby otworzyć nie śmiałem. W piątek korzystałem z możliwości moczenia nóg w Oceanie Indyjskim, w sobotę kupiłem parę chlebów i udałem się w drogę do Ambinanindrano.

Podróż była trudna, wysiadaliśmy kilkanaście razy. Półtora kilometra przed misją w Ambinanindrano, nie udało nam się wyjechać z kolein i ja o ósmej wieczorem podchodząc pod szczyt pagórka, na którym jest zbudowany nasz dom, śpiewałem jak najgłośniej: „Liczę na Ciebie, Ojcze, liczę na dobroć Twą”. Domyślił się od razu Ojciec Roman, co się stało. Poszedł do wsi, przeproszam, do powiatowego miasta (bo misja stoi nieco obok „centrum”) i znalazł kierowcę ciężarówki, przy pomocy której można było wyciągnąć nasz samochód. W niedzielę rano Ojciec Roman poszedł do jednej z dalszych wiosek, powróci po tygodniu. Ojciec Raymond samochodem pojechał do Marolambo, ja zaś pozostałem w Ambinanindrano, aby podziwiać prowadzone przez Ojca Romana prace w kościele nowym (upiększanie i malowanie dachów), w kościele starym (adaptowanym na salę zebrań i przedstawienia) i w domu ojców (wymiana podłóg). W kotlinie powstanie ogródek i na razie próbuję spalić wszystkie krzewy i zarośla ścięte przez robotników. Przyjdzie czas, to będziemy jedli warzywa, które urosną na naszej ziemi, chociaż te warzywa będziemy musieli kupić. Nam byłoby trudno zajmować się pielieniem i doglądaniem, więc pewna pani zajmie się uprawą i sprzedażą. Jest to nasz teren, więc my mamy pierwszeństwo w zakupach. Wokół naszego domu i kościoła dzieci jeżdżą na hulajnodze i uczą się robić różne zabawki...

Już brakuje mi miejsca na opisanie wszystkiego, więc obiecuję przygotować nowy list w Marolambo, dokąd pojedę na początku czerwca. Tutaj, do Ambinanindrano, przyjedzie Ojciec Marian.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Czy wiecie, dlaczego dzieci w Europie noszą zegarki? Aby wiedziały, ile czasu na nich czekano. Niektóre z tego powodu spóźniają się nawet do kościoła na niedzielną Mszę Świętą,

przez co wyrażają pragnienie spóźnienia się do nieba. Na Madagaskarze dzieci nie mają zegarków, a nawet jeśli noszą, to i tak się na nich nie znają. I nigdy nie spóźniają na Mszę Świętą. Ale jak one to robią bez zegarków, skoro Ty się spóźniasz mając zegarek?

* * * * *